

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 7140·— Mk. z przes. 7400·— Mk. Półrocznie 14800·— Mk. Rocznie 29600·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłaconą ryczałtem.

Numer pojedynczy 600 Marek.

Rok XX. Kraków, 10 lutego 1923. Nr. 6.

Małżeństwo z przeszkodami



(Rycina do artykułu na stronie drugiej).

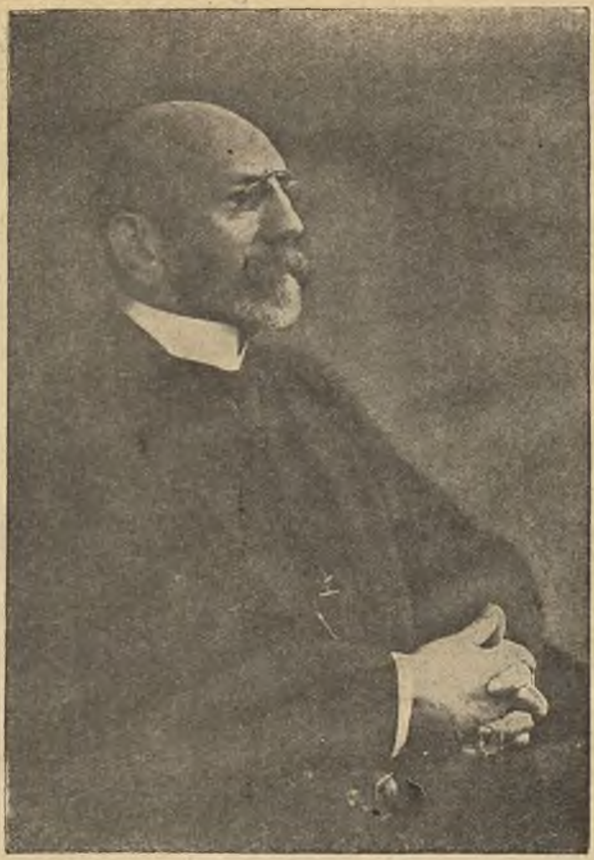
Małżeństwo z przeszkodami.

(Do illustracyi tytułowej).

W życiu ludzkiem odgrywa często wielką rolę przypadek. Nieraz drobne wydarzenie decyduje o losie i przyszłości człowieka. Zdarza się również, że różne „przypadki" tak się nagromadzą, jakby sprowadziła je umyślnie jakaś tajemnicza wyższa siła. Takie tajemnicze wydarzenia wywołały niedawno ogromne poruszenie w Sokalu. Odbył się tam ślub pary młodej, któremu towarzyszyły wprost nadzwyczajne okoliczności. W drodze do kościoła złamały sobie konie nogi na uszkodzonem moście. Ledwo stanęli państwo młodzi przed ołtarzem, przytrafiło się drugie nieszczęście: od świecy zapaliły się sztuczne kwiaty i w oka mgnieniu stanął cały ołtarz w płomieniach. Trzeba było zatem zająć się ugaszeniem ognia, od którego jednakowoż ucierpiał wielki ołtarz tak bardzo, że postanowiono wziąć ślub przed ołtarzem bocznym. Już ubierał się ksiądz proboszcz aby dać ślub, gdy wtem nadchodzi do zakrystyi wezwanie do umierającego chorego. Wobec tego poprosił nowożeńców, aby zaczekali cierpliwie na ks. wikarego, który za chwilę wróci i związek ich pobłogosławi. Rozpoczęła się wreszcie uroczystość kościelna, wikary wiąże ręce nowożeńców stułą — pada martwy, rażony apopleksyą. Lecz i to nie odstrasza pary młodej. Cierpliwie zaczekali, aż ks. proboszcz wrócił od chorego, i wzięli ślub.

Nowożeńcy okazali dziwną wytrwałość i cierpliwość w przeszkodach. Jeżeli na drodze swego życia okażą podobną wytrwałość, wówczas można im prorokować szczęśliwe pożycie.

Swięto nauki polskiej.



Święto nauki polskiej: Prof. Kazimierz Morawski.

Dnia 3. lutego b. r. polski świat naukowy złożył hołd pięćdziesięcioletniej naukowej pracy profesora Morawskiego, prezesa Pol. Akademji Umiejętności. Czcigodny jubilat jest gwiazdą pierwszej wielkości na niebie naszej nauki. Mało jest w Polsce uczonych, którzyby się cieszyli tak powszechną czcią i tak wielką plejadą uczniów. Urok osoby sędziwego profesora roztacza się nie tylko na tych, którzy mieli szczęście przysłuchiwać się jego płomiennym wykładom, ale także i na tych, którzy się kiedykolwiek zetknęli z jego dziełami. Dzieła zaś te pozostaną na zawsze chlubą Polski i królewskim przyczynkiem do skarbca wiedzy całej ludzkości. Przekłady prof. Morawskiego z literatury greckiej oraz badania nad humanizmem w Polsce będą stałą ozdobą literatury polskiej, a jego „historja literatury rzymskiej" pozostanie własnością filologii. Mimo najgruntowniejszych badań nad literaturą rzymską prowadzonych przez uczonych niemieckich i francuskich, nikt tak nie potrafił wżyć się w ducha epoki, jak właśnie prof. Morawski.

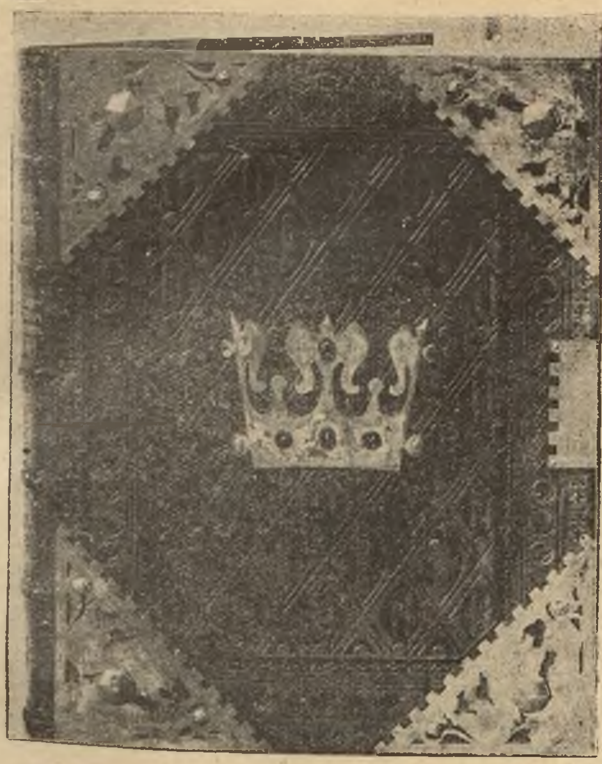
Kazimierz Morawski urodził się w r. 1852 w majątku rodziców, w Jurkowie pod Kościanem w Wielkopolsce. W latach 1860—69 pobierał nauki w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, po którego ukończeniu pojechał na studya filologiczne do Berlina. Już w r. 1877 habilitował się jako docent filologyi klasycznej w Uniwersytecie Jagiellońskim i odtąd 45 lat kształci w tych starych murach dwa pokolenia polskich filologów, pisze dzieła, rozprawy, artykuły, szkice, recenzye, wiersze, rozsiane w pismach naukowych i dziennikach, polskich i zagranicznych. W r. 1909 wydaje I-szy tom największego swego dzieła „Historyi literatury rzymskiej" i do r. 1921 pisze jej siedm tomów, obejmujących pisarzy Rzymu do końca III wieku po Chr. Z innych dzieł wymienimy: studyum o Andrzeju Patrycym Nideckim, krytyczne wydanie poezyi Andrzeja Krzyckiego, dwutomową „Historyę Uniwersytetu Jagiellońskiego" (średniowiecze i odrodzenie), znakomite przekłady „Antygony", „Edypa", „Elektry", w 1921 r. wydaje p. t. „Rzym, portrety i szkice" świetne odczyty, wygłoszone o kilku cesarzach rzymskich, wreszcie ostatnio w r. 1922 „Zarys literatury rzymskiej".

Uroczystość jubileuszowa ku czci sędziwego uczonego odbyła się dnia 3 b. m. w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego. W przepełnionej publicznością auli wygłosił serdeczne przemówienie do jubilata, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wład. Natanson. Następnie wręczył jubilatowi odręczne pismo prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, adjutant prezydenta, rotm. Pusłowski. Prof. Witkowski przemawiając imieniem polskich uniwersytetów oraz imieniem Tow. filologicznego we Lwowie, wręczył prezesowi Morawskiemu księgę pamiątkową; jest to zbiorowe dzieło przyjaciół, kolegów i uczniów jubilata. Następnie przemawiał imieniem Uniwersytetu warszawskiego i Tow. naukowego w Warszawie, prof. Tadeusz Zieliński; wreszcie imieniem b. uczniów prof. Morawskiego, prof. szkoły średniej, Kowalikowski. Prezes Akademii umiejętności, Morawski, głęboko wzruszony, dziękował za życzenia. Po uroczystości w auli, składała jubilatowi hołd licznie zebrana przed uniwersytetem młodzież szkół średnich krakowskich, poczem uczestnicy uroczystości udali się na wspólne śniadanie do Starego Teatru.

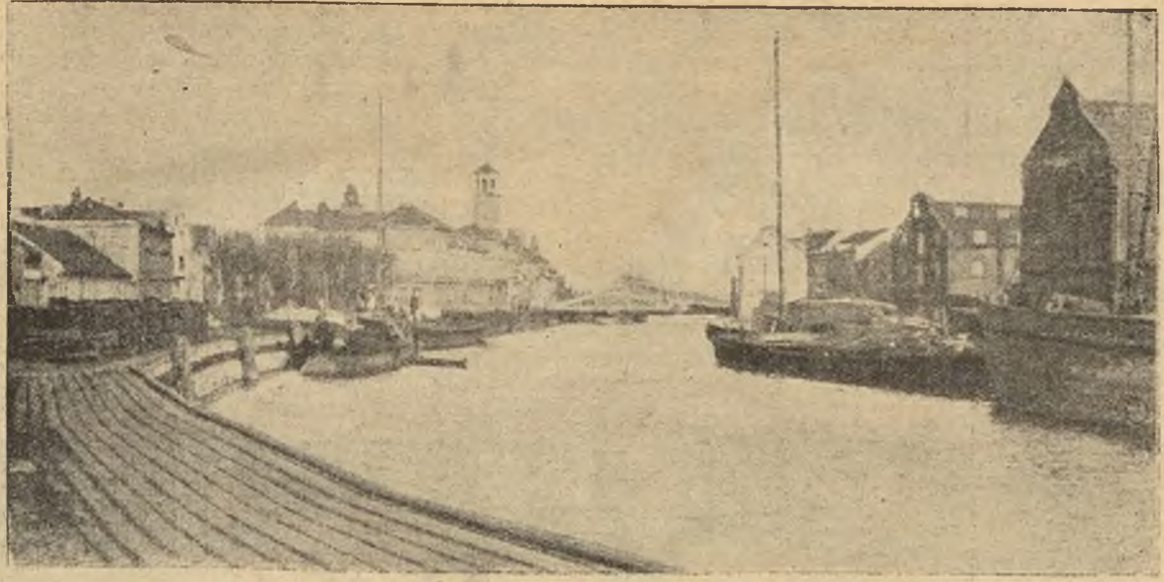
Oprócz pisma prezydenta Rzeczypospolitej, złożono na ręce jubilata adres uniwersytetu wileńskiego i adres wydziału filozoficznego uniwersytetu lwowskiego, ponadto cały szereg pism i depesz gratulacyjnych, między innemi: od prezydyum m. Krakowa, od wojewody krakowskiego, od związków i stowarzyszeń kulturalno-oświatowych oraz od licznych instytucyi naukowych z całej Polski.



Księga pamiątkowa budowy Muzeum Narodowego: Akt wręczenia Księgi pamiątkowej. Obecni: prezes komitetu J. K. Federowicz, wiceprezydenci m. Krakowa: Rolle, Sare i Wielgus, jeneralny sekretarz komitetu red. J. Grzywiński, członkowie Wydziału wykonawczego Komitetu: dr. Ehrenpreis, dyr. Kopera i rektor dr. A. Szyszko Bohusz, ofiarodawcy księgi pp. Jahodowie i sekretarz prezydyalny Mgtu p. Strasik.



Księga pamiątkowa budowy Muzeum Narodowego: Strona okładkowa księgi.



Zamach na samodzielność Kłajpedy: Część miasta, którędy powstańcy wdarli się w jego głąb.

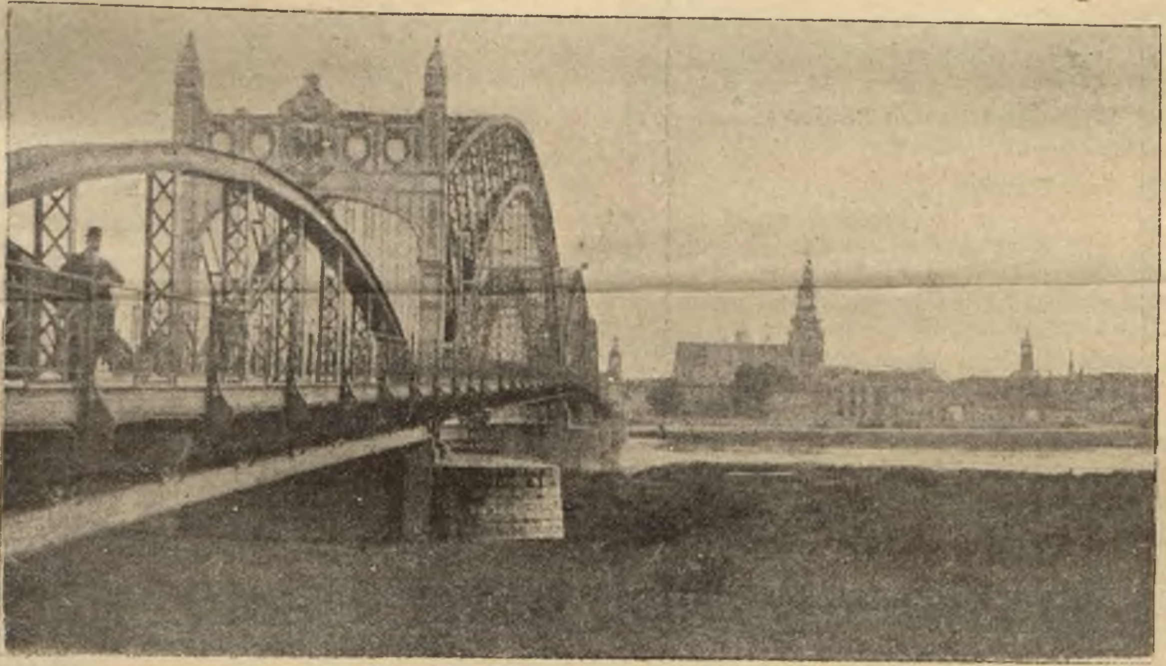
Księga pamiątkowa

budowy Muzeum Narodowego.

W salonie prezydenta m. Krakowa J. K. Federowicza odbyła się w tych dniach ceremonia wręczenia Komitetowi budowy Muzeum Narodowego Księgi pamiątkowej, ofiarowanej przez pp. Jahodów, właścicieli znanego zakładu introligatorskiego w Krakowie. Ofiarodawcy chcąc dopomódz pięknym zamierzeniom Komitetu, powodowani obywatelskiem poczuciem obowiązku współdziałania wszystkich nad wzniesieniem w Krakowie Pomnika Wolności, wykonali tę Księgę w swojej pracowni, własnemi siłami i swoim kosztem i złożyli ją w darze Komitetowi, by służyła dla jego celów. Podniósł tę ofiarność prezes Komitetu prezydent J. K. Federowicz, który dziękując w serdecznych słowach pp. Jachodom wskazał, że ich piękny czyn obywatelski powinien być przykładem ofiarności na rzecz budowy Muzeum Narodowego, zwłaszcza kół mieszczańskich i obywatelskich m. Krakowa.

Księga pamiątkowa, wykonana wedle projektów art. mal. J. Gumowskiego, kryta skórą, o tłoczonych wzorach artystycznych, zdobiona brązowymi narożnikami, ma wybitne cechy monumentalności i świadczy chlubnie o wysokim rozwoju polskiej sztuki introligatorskiej.

W Księgę pamiątkową, która obecnie wyłożona została w sali wystawowej Muzeum Narodowego w Sukiennicach, wpisywać się będą własnoręcznie założyciele Muzeum Narodowego, a korporacye, związki, banki i firmy umieszczać w niej będą także swoje pieczęcie, kiedyś po latach, jako zabytek muzealny, który przetrwa szereg pokoleń, Księga ta stanie się nader interesującym zabytkiem bieżącej doby, a zarazem wymownem świadectwem współczesnej ofiarności i zszeregowania się dzisiejszej Polski do wzniesienia wspólnemi siłami Pomnika Wolności. Toteż ze względu na to dokumentarne znaczenie Księgi, skupi ona w sobie możliwie liczne pieczęcie i autografy współczesnych.



Zamach na samodzielność Kłajpedy: „Most Ludwiki" na drodze wiodącej z Tylży do Kłajpedy.

Zamach na samodzielność Kłajpedy.

W chwili, gdy w Kłajpedzie rozgrywają się wypadki pierwszorzędnej wagi, mające doniosłe znaczenie i dla Polski, warto zwrócić uwagę na wartość i znaczenie tego terytoryum. Składa się ono z 3 powiatów (Kłajpeda, Heydekrug i Pagegen) o obszarze 236 tyś. ha z ludnością, wynoszącą 150.000 mieszkańców. Po wyodrębnieniu tego terytoryum z państwa niemieckiego Kłajpeda pozostaje pod opieką Koalicyi, którą reprezentuje wysoki komisarz francuski Petisne. Ludność miejscowa rychło sobie uświadomiła, iż jedynym i pożądanym dla niej rozstrzygnięciem o przyszłości Kłajpedy, byłoby jej całkowite usamodzielnienie. W tym sensie wypowiedziała się ona za pośrednictwem swojej tymczasowej władzy naczelnej, dyrekcyi krajowej, jak również wszystkich organizacyi zawodowych i stanowych. W specyalnej petycyi, złożonej w lipcu r. 1921. na ręce wysokiego komisarza, a wydanej następnie w postaci broszury agitacyjnej, żądanie usamodzielnienia Kłajpedy jako terytoryum wolnego, pozostającego pod opieką jednego z państw Ententy, podpisały wszystkie ważniejsze zrzeszenia Kłajpedy (izba handlowa, rolnicza, rękodzielnicza, związek spółek rybackich, związki pracodawców przemysłowych, rękodzielniczych i rolniczych, kartel związków robotniczych i t. p.)

A zaznaczyć należy, że przemysł w Kłajpedzie stoi bardzo wysoko. Na jej terytoryum jest obecnie czynnych:

29 zakładów fabrycznych, obrabiających drzewo, a więc tartaków i wytwórni fornierów, jedna fabryka nawozów sztucznych, jedna stocznia okrętowa, kilka fabryk budowy maszyn, kilka browarów, gorzelni i rektyfikacyi, oraz pokaźna ilość cegielni i torfiarni. Zakłady te zatrudniają do 20 tysięcy robotników i zaspakajają całkowicie nietylko potrzeby wewnętrzne, ale dają nawet, zwła-





Zamach na samodzielność Kłajpedy Port w Kłajpedzie i jego molo.

szcza w zakresie obróbki drzewa, znaczny nadmiar wyrobów, przeznaczony do wywozu.

Przyszłość Kłajpedy, należyty rozwój jej przemysłu i handlu, wymaga poprawnych stosunków ze wszystkimi jej sąsiadami a przedewszystkiem z Polską. Zrozumiały to miarodajne sfery kłajpedzkie i w d. 26 kwietnia r. ub. podpisały umowę handlową z Polską. Ale to właśnie było solą w oku działaczy litewskich. Jednym z celów napadu litewskiego na Kłajpedę było udaremnienie zbliżenia polsko-kłajpedzkiego oraz wpływów, jakie Polska mogłaby zdobyć w samodzielnej politycznie Kłajpedzie.



Zamach na samodzielność Kłajpedy: Targ rybny w Kłajpedzie.

Wystawa zbiorowa Franciszka Turka.

Franciszek Turek, którego portret i reprodukcyę kilku prac z ostatniej zbiorowej wystawy w gmachu krakowsk. Towarzystwa Sztuk Pięknych, podajemy w niniejszym numerze, jest już jednym z najwybitniejszych pejzażystów polskich, a talent jego posiada wszystkie warunki dalszego wspaniałego rozwoju.

Naprzód, tj. lat temu kilkanaście, dał się poznać młodziutki wówczas Turek, jako skrzętny zbieracz piękności architektonicznych Krakowa, które uwieczniał w doskonałych rysunkach piórkowych, kredkowych, oraz za pomocą specyalnie przez siebie stosowanej techniki, łączącej rysunek z podmalowaniem w dwóch, trzech kolorach farbami wodnemi. Rysunki te zwróciły nań uwagę miłośników „starego“ Krakowa i szerszego ogółu, który widział w Turku godnego następcę niezapomnianego odtwórcy zabytków krakowskich — Tondosa.

Z biegiem jednak czasu nie wystarczały artyście, mającemu za sobą gruntowne studya w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, rysunki architektoniczne, zwrócił się więc do malowania krajobrazów i znalazł w tym zakresie odpowiednie pole dla swych niepowszednich zdolności. W początkach i teraz jeszcze najbliższe okolice Krakowa, jak Wola Justowska, Bielany, Tyniec itd. dostarczają mu tematów, w których obrabianiu jest niewyczerpany. Później robił Turek studya w rozmaitych stronach Polski — ostatnio w Poznańskiem — i zewsząd przywoził plon obfity. Oprócz krajobrazów uprawia artysta z niemałem powodzeniem malowanie kwiatów.

Zalet krajobrazy Turka mają dużo. Wyliczymy najważniejsze. Są tu mianowicie, ogromna siła koloru i wyborne oddanie głębi powietrznej. Patrząc, szczególniej na górskie pejzaże Turka, lżej się oddycha. Dalej idzie niezwykła staranność w studyowaniu nieba z jego obłokami i chmurami, tak na polskiem niebie malowniczemi. Wreszcie podnieść trzeba wogóle niezmiernie trafne wybieranie przez artystę motywów, a w szczególności, szczęśliwe znajdywanie punktu, z którego owe motywy ujmuje w obrazie.



Wystawa zbiorowa Franciszka Turka: Franciszek Turek.

Oglądając „bajecznie kolorowe“ krajobrazy Turka, widz, oszołomiony bogactwem ich barw, nie zdaje sobie z początku sprawy z tego, jaką techniką są malowane. Po chwili dopiero, spostrzegłszy, że taką siłę kolorytu wydobył Turek akwarelą, zdumiewa się poprostu nad tem.

Jeżeli ktoś jest w możności wydobywać takie, jak on, efekty kolorystyczne farbami wodnemi, to cóżby dopiero mógł dokonać, malując olejno?

Znamiennym czynem twórczości Turka jest fakt, że, począwszy od r. 1919, każda jego wystawa zbiorowa, następująca po sobie, jest coraz lepsza. Uprawnieni więc jesteśmy oczekiwać po ostatniej wystawie, która była bardzo dobra, jeszcze doskonalszej i świetniejszej następnej.



Echa strajku drukarskiego w Krakowie: Przedstawiciele sześciu dzienników krakowskich, redagujący wspólnie „Wiadomości Krakowskie“, z redaktorem naczelnym M. Konopińskim (x) w pośrodku.

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

9) **Powieść z francuskiego**

Nie wiem, jakie trwożliwe uczucie przeszkodziło mi prosić o zaszczyt być przedstawionym hrabinie. Przypominam sobie tylko, iż, zdaje mi się, nie chciałem, by pomiędzy nas dwoje wmięszało się coś pospolitego. W odpowiedź na przedstawienie otrzymałbym kiwnięcie głową i może parę grzecznych frazesów. Wolałem sam się przedstawić w miejscu i czasie przezemnie samego wybranym. Hrabina jednak musiała zauważyć, jak uporczywie wpatrywałem się w nią, gdyż odjeżdżając, nachyliła się ku damie, z którą rozmawiałem. Pewnie zapytywała o moje nazwisko; ale widocznie nic jej ono na myśl nie przywiodło. Odjechała, nie udzieliwszy mi jałmużny najmniejszego uwzględnienia.

IX.

W dwa dni potem odbywały się w Bulońskim lasku wyścigi konne o wielką nagrodę stu tysięcy franków. Pewny byłem, że znajdę hrabinę Chalis na tem modnem zgromadzeniu. Sam po raz pierwszy udawałem się na wyścigi i ani podejrzywałem jąk szczególne rzeczy tam zobaczę. Długo, napróżno szukałem jej w zapełnionym ludźmi obwodzie, gdzie ważą dżokejów. Tyle tam było kobiet, a wiosenne toalety tak je zmieniały dla niewprawnego oka, iż zrazu ani jednej nie poznałem. Gwar, ruch, słoneczne promienie, wołania zakładających się, głowę mi zawracały — ale w końcu wypatrzyłem hrabinę.

Siedziała ona pod trybuną cesarską, wśród grupy najwykwintniejszych kobiet, na które wszyscy mieli oczy zwrócone. W krótkiej bufiastej sukni, bucikach z różowego atłasu z wysokiemi korkami, w lekkim, wiosennym kapeluszu, podobnym do bukietu kwiatów, wydała mi się ona o tysiąckroć piękniejszą i ponętniejszą. Szczególny układ woala nadawał jej twarzy wyraz oryginalny. Woal ten, lub raczej długa szarfa z białego tiulu, bez haftów, zarzucony na twarz jak maska, osłaniał całą głowę, a dwa jego końce, wysuwające się z węzła nad szynionem, lekko unosiły się wśród zwojów jasnych włosów, wijącego się bluszczu i wązkich jedwabnych wstążek na metr przeszło długich. Ten woal i te wstążki tworzyły prześliczny dodatek do pięknej i dumnej twarzy hrabiny. Była ona tak ujmującą, iż kobiety podnosiły się w powozach, stojących po drugiej stronie toru, by lepiej się jej przypatrzeć. Znajdowało się tam między niemi wiele tynkowanych twarzy, siniejących z zazdrości na widok kameliowej cery hrabiny de Chalis.

Zręcznie manewrując podsunąłem się aż ku niej. Miała ona w ręku mały kartel wyścigowy, gdyż, jak dowiedziałem się później, trzymała zakłady o znaczne sumy. Teraz wygrywała i była rozpromieniona. Malutki piesek z rasy pinczerów, nie wiele większy od szczura, siedział na jej kolanach, potworek ten długouchy i z ogromnemi, wypukłemi oczyma, miał na szyi złoty łańcuch, u którego wisiał brylant wielkości grochu. Zbytecznem jest dodawać, iż zbytkowna ta psina, faworytka ślicznej kobiety, wzbudzała zachwyt wszystkich otaczających hrabinę.

Zrazu nie dostrzegła mię, gdyż była mocno zajęta rozmową z jedną ze swych przyjaciółek i zapisywaniem zakładów w książeczce. Gdy konie biegły, stawała na krześle, przyglądając się im przez lornetkę, wtedy widać było jak cudne jej nóżki, ślicznie obute, tupały zniecierpliwione. Przy końcu wyścigu wykrzykiwała wesoło i klaskała w dłonie.

Dość było, by raz spojrzała na mnie dla rozprószenia tej wesołości. Kilkakrotnie przechodziłem przed nią nie zwróciwszy jej uwagi; ale w końcu ujrzała mię. Wtedy, rozpaczony, dostrzegłem, iż twarz jej wykrzywiła się pogardliwie.

X.

Przed ostatnim wyścigiem oddaliłem się. Czułem śmierć w sercu. Olbrzymie szaleństwo moich rojeń zaczynało występować przedemną, a bezpośrednie zetknięcie się ze światem tak roznamiętnionym do widowiska, tak dalekiego od szlachetnych rozrywek inteligencyi, sprawiało mi pewien rodzaj niesmaku, trudnego do pozbycia się. Nie siliłem się już nawet ukrywać przed sobą, żem był zupełnie nie na swojem miejscu wśród tego wykwintnego, próżniaczego tłumu, którego gusta i zabawy, gdym się im zbliska przypatrywał, przejmowały mnie tylko zdziwieniem, połączonem ze wstrętem. Powiedziałem sobie, że nigdy nie zdołam z nim sympatyzować.

Tam królowała hrabina, podzielając wszystkie te rozkosze. Jakiż mógł być cień prawdopodobieństwa, byśmy mogli zrozumieć się, nawet w razie gdyby wypadki zbliżyły nas ku sobie?

W takich myślach byłem zatopiony podczas gdy wynajęty mój kabryolet toczył się po alejach Bulońskiego lasku. Tu było tyle prawie ludzi co na polu wyścigowem. Nieprzerwanym szeregiem przeciągały powozy pełne ciekawych. Zwłaszcza w alei Akacyi, gdzie drzewa wtedy właśnie okrywały się kwiatem, było niezmiernie tłumnie. Właśnie gdym jechał tamtędy, zauważyłem jakiś niezwykły ruch poza sobą, ujrzałem wychylające się głowy i powozy szybko usuwające się w jedną linię, jakby dla zrobienia komuś drogi.

Wychyliwszy się z powozu, tak jak i inni, spostrzegłem nadjeżdżający szybkim kłusem ekwipaż zaprzężony à la Daumont. Dwaj powożący z koni stangreci, byli w niebieskich atłasowych kurtkach; same zaś konie miały przy łbach duże bukiety fiołków. Chociaż mieszkałem już w Paryżu od trzech lat, nigdy aż do tej chwili nie widziałem nic podobnie doskonałego w swoim rodzaju jak ten ekwipaż, nigdy nawet nie przypuszczałem, aby mogło się znaleźć tyle dystynkcyi w przepychu, ani tyle gustu w błahych rzeczach. Lokaje upudrowani mieli jedwabne pończochy; cenne konie były doskonale dobrane; uprząż błyszczała; otwarty powóz miał duże herby na drzwiczkach. Wszystko to świetniało i w miarę zbliżania się wydawało się piękniejszem.

— Co za styl — mówili młodzi ludzie tuż stojący.

— Będzie tego więcej niż na sto tysięcy!

— Nie licząc kobiet.

Usłyszawszy te trywialne wyrazy, odwróciłem głowę. Wymówił je jakiś mężczyzna bardzo przyzwoitej powierzchowności. Gdym znowu zwrócił oczy na powóz, był on tuż koło mnie.

Obok nieznanej mi damy siedziała w nim hrabina de Chalis, uśmiechnięta wdzięcznie osłonięta swym tiulowym woalem z długiemi wstęgami wiatrem poruszanemi. Miejsce na przodzie zajmowali dwaj mężczyźni. Hrabina musiała mnie poznać, gdyż odwróciła się znowu z niezadowoloną miną.

Dopiero wobec tego królewskiego przepychu, pojąłem jak straszna odległość rozdziela mnie od niej! Bo cóż byłem ja, biedny profesor, przy całej mojej znajomości historyi i przy całej wykwintności wymowy, zachwycającej kolegów i uczniów? Cóż byłem ja, serce młodzieńcze, dusza miłości spragniona, z całą moją delikatnością uczuć, wobec tej świetnej wystawy, tych angielskich koni, tak doskonale wytresowanych, tych lokajów o minie gentlemenów. Jeszcze nie rozprószył się kurz z pod kół tego eleganckiego pojazdu, a już powracałem do mojej nicości, upokorzony tem, żem się z niej był wyrwał.

A jednocześnie budziła się we mnie zazdrość, rozdzierająca serce swymi nielitościwymi zębami. Gdybym mógł współzawodniczyć z nią w zbytku, gdybym tylko miał jakikolwiek tytuł, coś nazywającego się pozycyą, a co jest wszystkiem dla tych ludzi światowych, gdybym naprzykład należał do szlachetnych domowników jakiej panującej osobistości; albo, gdybym pochodził od jednego z tych wielkich rabusiów feodalnych, nawet od takich, których majątek datuje od zbrodni — wtedy istniałbym, byłbym człowiekiem w jej oczach. Ale pochodzę z rodziny marynarzy. Ojciec mój miał się za szczęśliwego, że cztery razy był rannym w usługach Francyi; ja sam do tej pory poprzestawałem na staraniu się o zdobycie tyle nauki ile tylko może człowiek w moich latach, na rozwijaniu mojej inteligencyi, uszlachetnianiu namiętności, na robieniu dobrze i na wierze w dobro. O! ci dwaj mężczyźni, siedzący tam w powozie, może spoufaleni z nią, ci mężczyźni, których dotyka jej woal, którzy oddychają jej atmosferą — cóż to są za jedni? Co zrobili, by zasłużyć sobie na tak wielkie względy?

Takie myśli miotały mną, gdy wśród tłoku dwudziestu tysięcy powozów, powracających z wyścigów, lichy mój, wynajęty kabryolet toczył się po alei cesarzowej i Polach Elizejskich. Wszystko dokoła błyszczało przepychem i zbytkiem, odznaczało się pięknością uprzęży i koni, bogactwem liberyi. Wszędzie tylko zaprzęgi à la Daumont, poszóstne berliny, pocztowe karety; wszystko brzęczało i wiło się w jednem wykwintnem zbiorowisku, pełnem dam wielkiego świata i kurtyzanek. Te ostatnie, napół leżąc w powozach, miały w nogach całe snopy kwiatów, a powłóczyste ich suknie daleko wysuwały się na koła. Wszędzie wymieniano sobie powitania; promienne słońce rozgrzewało głowy, dokoła widać było tylko kwiaty i wstążki wijące się pod parasolkami. Cały współczesny Paryż defilował przedemną. Paryż obcięty, płochy, zachwycony tem, że znajduje siebie wiecznie jednakowym. Ja tylko sam, gniewnie wsunąwszy się w kąt mego kabryoletu, czułem się ponurym i smutnym.

W rotundzie, na Polach Elizejskich, znowu spotkałem powóz hrabiny. Konie szły stępa środkiem szerokiej drogi. Pani Chalis, ujrzawszy mnie, zasłoniła sobie chustką dolną część twarzy, by ukryć śmiech. Gniew mię opanował, gdym to dostrzegł. Cóż było we mnie tak śmiesznego?

XI.

Od owego dnia istniało między nami coś w rodzaju milczącego wyzwania. Wszędzie, dokąd tylko hrabina się udała, mogła być pewną, iż mnie spotka; a za każdym razem mogłem się spodziewać jakiegokolwiek znaku wzgardy, jak tylko oczy jej spotkały się z mojemi.

A niemałem było zajęciem śledzenie jej. Teraz już cały mój czas do niej należał, wyjąwszy sześć godzin w tygodniu, poświęconych wykładom. Rano w niedzielę spotykałem ją w kościele św. Filipa du Roule, w piątek wieczorem na koncercie na Polach Elizejskich. Jednego dnia widziałem ją w wielkiej operze, drugiego na operze włoskiej, a zawsze w świetnych strojach i niezmiennie w towarzystwie kilku przyjaciółek.

Wszystkie salony były zamknięte; mogłem więc spotykać ją tylko w miejscach publicznych. Najpewniejszym znalezienia byłem zawsze w lasku Bulońskim. Codzień między piątą a szóstą hrabina ukazywała się na chwilę w alei Jeziora, miejscu nudnem, dokąd jeździ się nie tyle dla użycia powietrza świeżego, ile dla przypatrzenia się i pokazania siebie. Tu hrabina z karety swej oglądała toalety, kłaniała się znajomym i uprzejmie pozwalała zachwycać się sobą każdemu, kto miał do tego ochotę.

Ja tylko jeden posiadałem smutny przywilej zachmurzania jej pięknego czoła i wywoływania na twarzy owego nadąsania, które przyprowadzało mię do rozpaczy, ale które w każdym razie przenosiłem nad obojętność. Zawsze patrzała na mnie z jednym i tym samym wyrazem, z pewnym rodzajem wyniosłości, połączonej ze znudzeniem. I, jak się później dowiedziałem, spoglądała wcale nie w zamiarze irytowania mnie, ale dlatego, że jej, wielkiej damie, wydawało się niesłychanem i nadzwyczaj dziwacznem, że jakiś młody profesor, to jest człowiek będący niczem, miał na tyle zuchwalstwa, by ją pokochać.

XII.

A jednak... pomimo tej pogardy... a może właśnie z powodu tej pogardy — ciągle czułem ku niej pociąg tak szczególny, iż w końcu za mało mi już było tego, żem zdaleka widywał ją prawie codzień. Zachciało mi się poznać całe jej życie, być obecnym przy każdej jej czynności, przeniknąć najskrytsze jej myśli. To, czegom mógł domyślać się o jej życiu, wydawało mi się bardzo dziwnem, gdyż w owym czasie znałem świat tylko z zewnętrznej jego strony.

Starałem się wyszukać ludzi, stanowiących najbliższe jej otoczenie. O mężu jej nikt nie wspominał. Mówiono, że hrabia podróżował dla zdrowia i ukazywał się w Paryżu rzadko i na krótki tylko czas. Zapewne to z powodu nie obecności męża, hrabinę otaczał zawsze tłum łatwy do poznania, bo zawsze jeden i ten sam, gorących wielbicieli. W liczbie uprzywilejowanych znajdował się jeden szczególnie, którego instynktownie nienawidziłem, gdyż prawie ciągle widziałem go przy niej. Był to młody człowiek w moim wieku, który w Paryżu wyrobił sobie szczególną reputacyę, dzięki kilku ekscentrycz

nościom, a zwłaszcza najszaleńszemu marnotrawstwu. Nazywał się książę Titiane.

Widząc tę wątłą figurkę, twarz bez zarostu i słysząc głos piskliwy, można było wziąć go za dziecko, gdyby pewny, dziki wyraz uczu i niczem niezamącona pewność siebie nie świadczyły, że był to człowiek obdarzony wielkim uporem czy też stanowczością. Uzupełnię to, co się da powiedzieć o nim, gdy dodam, iż był to typ jednego z tych skończonych młodzieńców, godnych młodej generacyi, którym jeden z dowcipnych człowiek dał trafną nazwę: zdrobnia łych łotrów.

W dziecięcy h latach zostawszy sierotą, po dojściu do pełnoletności książę ujrzał się panem jednego z tych majątków, które słusznie nazywają skandalicznymi. Jeżeli nie są takimi przez swe pochodzenie, to niezawodnie przez niemoralny i hańbiący użytek, jaki z nich robią ich posiadacze. Pewien człowiek wielkiego rozsądku, bawiący się robieniem spostrzeżeń nad tym dziwnym księciem, powiedział, z powodu jego majątku i szkaradnych czynów, jakie mu ten ułatwiał, że książę jest „obrzydliwie bogaty".

To co opowiadano sobie do ucha o awanturach księcia, nie było bynajmniej tego rodzaju, by zdołało złagodzić uczucie mojej instyktowej ku niemu nienawiści. W dwudziestym roku, życie tak już było czczem dla niego, tak stracił urok do wszystkiego, iż tylko gra, gra szalona, była go wstanie rozruszać. Raz zamknął się na całą noc z jednym ze swych rówieśników -- jak mówiono, ten ostatn miał w swych żyłach kilka kropel krwi królewskiej — i dwaj ci próżniacy rozeszli się wtedy dopiero, gdy jeden z nich wygrał u drugiego milion sto tysięcy franków w écarté.

Wszystko co tylko mogło zwrócić nań uwagę, nadać rozgłos, nawet wystawić go na śmiech i splamić, wszystko to książę robił spokojnie, n iewnie, choćby to miało kosztować najogrom niejsze sumy. Miał on swój orszak wielbicieli, zbierających ogryzki, jakie zwykle każdy marnotrawca rzuca poza sobą.

— Dobry chłopiec, pomimo swych wybryków — mówili jedni.

— Lubi się popisywać — mówili inni.

I to wszystko! Nikt nie miał odwagi powiedzieć: Szalony! Owszem, dzienniki rozpisując się o nim wystawiały go jako wzór do naśladowania.

Ja, myśląc o nim, zapytywałem sam siebie, jaki przykład możnaby wydobyć z tego istnienia, które całe wysnuwa się przy stołach gry, za poruszającą siłę ma tylko próżność, a za rezultat wszystkiego przesyt.

Jakie szczególne uczucie przywiązywało go do hrabiny, a znowu z drugiej strony, jaką przyjemność mogła znajdować hrabina w towarzystwie podobnego człowieka — tego żadną miarą wytłómaczyć sobie nie mogłem. Dowiedziałem się o tem później, w sposób najmniej spodziewany, mógłbym powiedzieć opatrznościowy, gdyby w dramacie prawdziwie niesłychanym, który opowiadam, raczyła się kiedykolwiek okazać opatrzność.

XIII.

Podczas gdym cały był zajęty temi poszukiwaniami i badaniami, które niewiele mi rozjaśniały, nadeszło lato. Wszyscy ludzie comme il faut wynosili się z Paryża. Jedni jechali do Baden, drudzy do Dieppe, Trouville, Vichy, w Pireneje, do Homburga — wszyscy zaś przyrzekali sobie, że w jesieni spotkają się Biarritz.

Dla mnie nader ważnem było dowiedzieć się gdzie uda się hrabina. Oddawna już zrobiłem sobie postanowienie jechać za nią — choćby na koniec świata. Wkrótce, dowiedziałem się, iż ponieważ starsze jej dziecię zapadło na zdrowiu, lekarze zalecili jej przepędzić sześć tygodni w Aix, w Sabaudyi. Nie na rękę to było matce, bo żadna z jej przyjaciółek ani też nikt z tych młodych próżniaków, których nazywała „swymi wiernymi" nie udawał się w tamtą stronę. Obawiała się że umrze z nudów, pozostając w samotności prawie dwa miesiące. Ale trzeba było jechać, gdyż życie synka było w niebezpieczeństwie.

Opuściła więc Paryż w końcu lipca, zabrawszy z sobą ośmiu służących, cztery konie, trzy powozy i dwoje swoich dzieci. Nie robiąc sobie żadnych iluzyi co do niedorzeczności mego kroku, rozporządziłem się tak, iż mogłem stanąć w Aix w dwa dni po przybyciu hrabiny. Łatwo mi to przyszło, gdyż miałem dobre stosunki w ministerstwie, od którego zależał uniwersytet.

W tem miejscu dochodzę do ważnego okresu w mojem opowiadaniu, i muszę wejść w niektóre szczegóły, niezbędne dla należytego zrozumienia tego co nastąpi.

XIV.

Przyjechawszy do Alix, dowiedziałem się, że hrabina Chalis zamieszkała w hotelu Venant. Zakład ten składa się z kilku pawilonów, których okna wychodzą na obszerny ogród, ze wszystkich stron otoczony wysokim żywopłotem, w guście włoskim. Hrabina zajmowała dolne pokoje w jednym z największych pawilonów.

Tak mi się poszczęściło, iż w jednym prywatnym domu znalazłem pokój z oknami na ogród hotelowy. Z balkonu mego można było widzieć cały front apartamentów hrabiny, a zszedłszy do sadu należącego do mego gospodarza, przez żywopłot mogłem widzieć wszystko, co się dzieje u moich sąsiadów, sam nie będąc widzianym.

Pierwsze dni starannie ukrywałem się, aby należycie rozpatrzyć tryb życia hrabiny.

Chore jej dziecię co rano udawało się do kąpieli w towarzystwie służącej i lokaja w sutej liberyi. Drugi synek, nader żywy niezrównanej wesołości, spędzał czas na bieganiu po ogrodzie i najmniej ze trzydzieści razy na dzień słyszałem głos bony Angielki, strofującej go za to, że się tak naraża na słońce. Dwa te chłopczyki, z których jeden zdawał się mieć lat ośm, a drugi siedm, były to niezaprzeczenie najmilsze istoty, jakie tylko widzieć można. Obaj byli podobni do matki. Mieli także same jasne włosy, lekko kędzierzawe i takie same ciemnoniebieskie żywe oczy. Starszy był nieco blady, z powodu choroby, ale bladość ta bynajmniej nie ujmowała mu wdzięku.

Hrabina nigdy nie ukazywała się w ogrodzie wcześniej jak po południu. Widywałem ją wiedy zdaleka, zawsze wystrojoną, jak przechadzała się, osłonięta lekkim parasolikiem. Wieczorem wyjeżdżała w powozie i powracała koło godziny dziesiątej. Nie przyjmowała nikogo. O północy służba zamykała okiennice w jej apartamencie i światło gasło we wszystkich oknach.

Tak dobrze przeczuwałem, iż z naszego sąsiedztwa wyniknie dla mnie coś stanowczego, że nie wychodziłem nigdzie z obawy, by w mojej nieobecności nie zaszedł jaki wypadek, mogący mnie zainteresować. Przezorność ta na dobre mi wyszła.

Czwartego dnia po mojem przybyciu, koło drugiej godziny, gdym się p zechadzał w ogrodzie do mego pomieszkania należącym, pod cieniem są iedniego żywopłotu, uwagę moją zwrócił odgłos kroków osoby przechadzającej się po drugiej jego stronie. Rozsunąwszy ostrożnie liście, ujrzałem zdaleka mężczyznę, który doszedłszy do końca alei, zawrócił z drogi, a gdy stanął na równi ze mną, poznałem księc a Titiane.

W tej chwili zdawał się on być nieco wzruszonym, gdyż muszkuły jego twarzy były skurczone, a oczy były nieruchome. Idąc, uderzał prętem po liściach i niecierpliwie spoglądał ku pawilonowi. Ubiór, tak zwany „knickerbocker", jaki miał na sobie, mały wzrost, twarz bez żadnego zarostu i odkryta aż do ramion szyja wielce się przyczyniały do nadania mu dziecięcej powierzchowności. Tylko wzrok nakazujący, złośliwy, drwiący, którego niepodobna było zapomnieć, raz z nim się zetknąwszy, zdradzał w nim męskie namiętności.

Czekał od kilku już minut, gdy wtem szmer jedwabnej sukni dał się słyszeć w niewielkiej odległości. Z drugiego końca ogrodu szła hrabina na spotkanie księcia.

Uchyliwszy się pod liśćmi, widziałem jak się zbliżała zwykłym swym drobnym krokiem, kręcąc rączkę parasolika, który trzymała w ręku. Stanąwszy tuż przy księciu powiedziała cicho kilka słów, i natychmiast oddalili się razem, zakryci zielonością od wszystkich oczu, z wyjątkiem moich. Chociaż byli bardzo blisko, nie mogli jednak widzieć mnie ukrytego za żywopłotem.

Słyszałem wszystko co mówili. Szli jedno obok drugiego. Wzrokiem i słuchem śledziłem ich z zazdrością równającą się niepok jowi.

Hrabina mówiła tonem cierpkim, ale nieco hamowanym, kobiety zagniewanej. Książę był nie mniej od niej zirytowany.

Szczególna to była rozmowa. Ja, wychowany przez ojca w religijnej prawie czci dla kobiet, ja, który nigdy nie przypuszczałem aby, nawet w chwilach uniesienia, kobieta stojąca na takiej wyżynie, na tym stopniu towarzyskim co hrabina Chalis, mogła kiedy o tem zapomnieć, co winna samej sobie, szalałem prawie ze zdumienia, słuchając ich obojga.

Będę się starał powtórzyć tu słowo w słowo, całą tę rozmowę.

— Dlaczego przybyłeś pan aż tu za mną? — zapytała hrabina. — Zabroniłam to panu.

— O! Ba! — odpowiedział książę z nieukontentowaniem. — Gdyby to zważać na to co kobiety zabraniają!...

— Obecność pana może mię skompromitować.

— Dla czegóż miałabyś pani być więcej skompromitowaną w Aix aniżeli w Paryżu?

Tu nastąpiło kilka słów, których nie dosłyszałem. Potem znowu zaczął książę gniewnie:

— Po coś pani pojechała do Aix? To wcale nie wesołe miejsce. Tu nie ma co robić! Kąpać się tylko i na tem koniec. Nikogo nie ma. Wyjechałaś pani dla tego, aby uciec przedemną! Już od miesiąca uważam, że pani chcesz zerwać ze mną.

— A gdyby i tak było? — zawołała namiętnie hrabina. — Czyż mi nie wolno?

— O! wolno! — odparł z ironią książę. — Doprawdy, że to byłoby bard o wygodnem.

Tu znowu nastąpiły wykrzykniki, urwane frazesy, gwałtowne wyrzuty, których nie słyszałem dokładnie. Nakoniec hrabina zawołała:

— Natychmiast powrócisz pan do Paryża!

Książę wściekał się.

— Nie powrócę! — zawołał. — Pani chcesz pozbyć się mnie, bo pewno czekasz na kogo innego!

— Jesteś pan pijany! — odrzekła urażona hrabina.

— Nie — upiłam się dopiero wieczorem.

— Za kogóż więc pan mnie masz mówiąc do mnie takim tonem?

— Mam panią za kobietę, którą kocham, która mnie kocha...

— Ja? Kocham pana?

— Tak się spodziewam.

— Pan jesteś mi wstrętny.

— A od jak dawna?

— Od czasu jak uwziąłeś się na to by mnie kompromitować.

— A!... nareszcie wyszła na jaw tajemnica! — zawołał książę. — Mówisz pani dlatego, iż jednego wieczora widziałaś mnie w teatrze Bouffes Parisiens w loży z małą Florencyą. Naprzód złożyłem jej tylko wizytę w loży; nie zostawałem tam nawet pół godziny. Powtóre, jeżeli Florencya lornetowała panią, to przecież nie mogłem jej tego zabronić. Dziewczyna ta znajduje, że pani jesteś bardzo miłą. W tem niema zbrodni.

— Pan i ta pańska panna Florencya!... — zaczęła hrabina. A wymawiając to nazwisko zdawała się być oburzoną do głębi serca. Ale książę przerwał jej wyzywającym uśmiechem i zapytał:

— No i cóż? Czy chciałabyś pani teraz narazić się na gadaniny Florencyi?

Hrabina spojrzała na niego. Chciała coś odpowiedzieć, ale nie wiem co jej przeszkodziło. Po chwili dopiero zawołała:

— Jakto? Więc pan nie pojmujesz, iż, wychodząc z loży takiej dziewczyny, nie zachodzi się do loży kobiety przyzwoitej?

— Więc miałem nie dotrzymać pani towarzystwa tego wieczora? — odpart książę.

Tu dwa głosy oddaliły się, ciągle sprzeczając się z sobą. Nie śmiałem ruszyć się z miejsca, z obawy by nie zwrócić uwagi. Gdy książę i pani Chalis przybliżyli się do mnie znowu, nie przestając mówić, gniew ich doszedł do takiego stopnia, iż nawet nie zadawali sobie trudu ukrywać go.

— Powiadam panu — powtarzała hrabina — że natychmiast powrócisz do Paryża.

Książę zrobił drwiącą minę. Hrabina mówiła dalej:

— A teraz oddaj mi pan mój portret i moje listy.

— O! listy! — zawołał książę z gwałtownym ruchem. — A potem dodał lodowatym tonem:

— Listów nigdy nie oddam!

— Nigdy?

— Nigdy!

— Cóż z nimi zrobisz?

(Ciąg dalszy nastąpi).

SEWER.

HANKA.

NOWELA.

Po równym jak stół, zdawało się gliną wylepionym gościńcu, mknął cicho powóz, ciągniony przez dwa rosłe konie. Mijał zielenią umajone wierzby i stare chaty. Białe główki dzieci, w białych rozpiętych koszulinach wyglądały z za płotów, rozszerzając ciekawe szaro niebieskie oczy. Zdziwienie i ciekawość dzieci obejmowały dwie strojne kobiety i siedzącego na przodzie młodzieńca.

Wśród krzaków bzu i koraliny zrobił się świetlany otwór, a w nim, jak gdyby kwiat tych drzew, ukazała się główka. Na złote jej włosy padało słońce, usta rozchylone jak w kielichu róży, twarzyczka zapłoniona rozkoszą, oczy szeroko rozwarte — niebo z nich patrzało, niebo niebieskie, głębokie...

Powóz cicho posuwał się drogą, mknąc na krzaki bzu i koraliny. Dziewczę zaparło oddech, oczy zmrużyło. Zobaczyła go, był piękny, jak królewicz z bajki, a może jeszcze piękniejszy od niego. Powóz pognał daleko, dziewczę westchnęło, piersi jej wznosiły się i wolno spadały. W tym spojrzeniu była głębia smutku i rozrzewnienia. Stała zamyślona, zasłuchana, łowiąc uchem konające szmery lecącego powozu. Raptownie budząca się myśl, jak dotknięcie iskry elektrycznej, wstrząsnęła ją — wpadła do izby, otworzyła skrzynkę, wyjęła lusterko, spojrzała i westchnęła.

— Mam ci ja i ślepia bławaty i usta korale i zęby śniegu i nosek cienki i szyję bielutką — i bielsze... — nie powiedziała, bo ją schwyciło za serce i oniemiło. — I cóż mi, że mam, kiej królewicz mój ani to widzi, ani na to patrzy, ani tego chce!.. Cóż jemu, Boże, biedna dziewczyna, co ino umie uganiać po błoniu, sierpem rżną i w kościele się modlić. Ani ja do niego zagadać, ani ja do niego uśmiechnąć się i spojrzeć. A jeżeli patrzę, to ukradkiem i z daleka. I cóż mi sierocie z tej dalekości przyjdzie?...

Ręce zaplotła i zarzuciła za siebie, oczy wpatrzyła w niebieskie niebo, rzeźbione w srebrne, przeźroczyste chmurki i stała tak w białej koszulinie, czerwonej spódnicy, bosa... Koszulina rozpięła się na szyi, po promieniach słońca drgało życiem i utajoną rozkoszą białe ciało o różowej za skórą krwi, wydobywanej ciepłem słońca. Zamyślona patrzała w niebo, srebrne chmurki rozpływały się wolno w niebieskiem przeźroczu.

— I moja dusza tak się rozpłynie w kochaniu, jak te chmurki na niebie. I nie zostanie ze mnie nic, ciało w ziemi, a kochanie w niebie. Skąd przyszło, tam i poleci..

Zabrzęczało na szybie, dziewczyna drgnęła.

— Haniu, już czas na sumę — dał się słyszeć głos chłopaka z za okna.

— Nie właź do chałupy - zawołała dziopa - sama jestem..

— Co mam właźć, siędę na przyzbie i zaczekam.

— Czego?...

— Pójdziemy razem do kościoła.

— Sama trafię!...

— Wiem o tem, ale ja nie trafię, zaprowadzisz mnie, ino się śpiesz, już dzwonią.

— Leć sam, nie pójdę z tobą.

Chłopak nic nie odpowiedział, siadł na ławie przy oknie, wydobył z kieszeni kapciuch, nałożył fajeczkę, zapalił i ciągnie powoli dymek, patrzał, jak słońce wypija srebrne chmurki na niebie..

Świąteczna cisza panowała w wiosce, cisza skwarnego południa. Listki koraliny stały nieruchome, żar panował - zdawało się, że było jedno słońce na niebie i jedna ziemia na świecie, obejmujące się w gorącym pocałunku.

Jędrzej wyciągnął nogi, głowę ukrył w cieniu, padającym z okapu chałupy. Granatowy kontusik rozpiął i czekał. Cierpliwość była jego siłą, nią wojował i z nią szedł przez życie. Cierpliwość była jego cnotą, chociaż czarne mu ślepia świeciły, a z poza koszuli rysowały się żelazne muszkuły rąk. Mówiono, że Jędrek jest najsilniejszy w całej wsi, lecz moc kryje w sobie, woli ustąpić, jak ją pokazywać i dlatego ludzie się go nie boją i niewiele o nim trzymają, zwyczajnie jak ludzie, których uczy moresu pięść podniesiona w górę. Jędrek nie podnosi pięści, łagodny, spokojny i dobry, lubi zgodę i ciszę, w której się w tej chwili rozkoszował.

Spojrzał w okno i odsunął się — Hanka kładła chusteczkę na głowę.

Drzwi zaskrzypiały, strojna jak malowanie, jak bławat z makiem w pszenicy, stanęła na ścieżce i rada z siebie, z swej piękności, czując, jak wielkie robi na chłopaku wrażenie, zaśmiała się...

— Czemu nie idziesz sam? - odezwała się, ściągając brwi.

Jędrek się zerwał, poprawił żupanika i odpowiedział;

— Aleś się stroiła, no i wystroiła.

— Ale nie do ciebie.

— Wiem, ale i ja mam ślepia, wolno mi patrzeć i lubować się.

— Lubuj się koraliną, a nie mną.

— Lubuję się całym światem, a że i ty Hanuś na nim żyjesz, lubuję się i tobą, gdy stajesz jako kwiat strojna! Zabaczyłaś se książki od nabożeństwa, a ludzie powiedzieliby, żeś czytać zapomniała...

— Bez ciebie — zawołała Hanka i wpadła do izby.

Poszli — Hanka naprzód, Jędrek za nią. Biała chustka w szkarłatne, wielkie róże okrywała ramiona dziewczyny. Z poza rzuconej na głowie chusteczki świeciły oczy błękitne i usta rozkoszą wezbrane. Prostym noskiem łapała gorące powietrze i wyprostowana jak topola, szła żywo, raźnie, że aż się dusza Jędrka do niej rwała. Patrzał za nią i powtarzał w duchu:

— Moja! nie dziś, to jutro, ale zawdy moja! Nie oddam jej nikomu, choćby to był sam dyabeł z piekła, albo pa—nicz..

Zawrzało w nim. „Panicz!" — dłoń zacisnął, serce mu tak zaczęło bić, że zaciśniętą rękę położył na sercu.

— Panicz! Boże ulituj się nademną i nad nim!...

Hanka się odwróciła.

— Jeszcze nie dzwonią na podniesienie, a ty już pięścią tłuczesz piersi — zawołała.

— Ze strachu, bo mnie złe myśli opętały, prosiłem Pana Boga, żeby odleciały.

— Jakie?...

— Ty wiesz jakie!...

Hanka zamilkła, przyspieszając kroku. I jej serce zaczęło bić gwałtownie, strach tamował oddech. Zna ona te myśli, tylko nie wiedziała o ich wielkiej złości, a teraz bała się okrutnie.

Na krzyżowych drogach spotkały ją równie śnice, otoczyły, śmiały się do niej. I ona się śmiała — chociaż jej serce dygotało ze strachu.

— Jędruś cię nie opuszcza, zawdy z tobą — mówiły z żalem i odcieniem zazdrości.

— A łazi ci za mną jak ten pies, że go nie odgonisz...

— Hanuś, nie obrażaj Pana Boga; chłopak samowity, mocny jak żelazo, gruntowny, wlubił się w ciebie.

— A ja go nie chcę! - zawołała tak głośno, żeby Jędrek usłyszał — i cóż mi zrobi?

— A cóżbym ci robił — odpowiedział Jędrek. — Tobie nic.

— To komu? — spytała żywo przystając.

— A komużby? nikomu, moja przepióreczko; niema winnych, ino winne twoje serce i moje głupie, bo nie powinno mnie pchać, żebym łaził za tobą.

Odwrócił się i odszedł.

Dziewczęta w śmiech.

— Widzisz Hanuś, straciłaś chłopaka.

— Wróci, nim się suma skończy - zawołała wesoła Franka.

— Nie, nie wróci - odparła mądra Maryna. — Znam ja go, jak raz odejdzie, żadna go siła nie przyciągnie.

Hanka z zaciśniętemi ustami patrzała za odchodzącym, zła za despekt, jaki jej wyrządził. Rada była dogonić go i sprać, lecz się wstydziła rówieśnic, wyśmiałyby ją.

— Niech leci i niech mnie nie nudzi; przylepił się do mnie jak oset, że go odciągnąć nie mogę.

Odwróciła się i poszła, lecz chmurna i milcząca, na wesołość i żarty towarzyszek nie odpowiadała.

— Czy wróci?... — pytała siebie. — Żeby mi ino przeszkadzał, żeby mi dokuczał i naśladował mnie; a niech se idzie na cztery wiatry i da mi święty spokój.

Mimo to była zła, niespokojna, zadumana.

— Poszedł i ani się nie odwrócił. Gdyby tak na mnie padło, obejrzałabym się przecie...

— Haniu, markotno ci? — zaśmiała się Maryś.

— Mnie markotno? O kogo? Zła jestem, żem się spóźniła do kościoła.

— No, no, znamy się na tem — rzekła Kasia.

— To się znajcie, kiej się wam podoba. Wy wiecie jedno, ja drugie.

— My wiemy tylo, że Jędruś nie wróci, zacięta z niego sztuka!... Hanuś, przekonasz się.

Dziewczęta drażniły przepowiednie towarzyszek; przyspieszyła kroku, aby się od nic uwolnić i przybiedz do kościoła. Tam ją czeka rozkosz. Na jej wspomnienie serce dziewczyny rozkosznie się ściskało. Wbiegła szybko po kamiennych schodach i stanęła u wejścia na cmentarz...

Drewniany kościółek otaczały stare lipy szumiące, wśród nich białe nagrobki odcinały się od zielonej murawy. Kobiety i dzieci otaczały ciemny drewniany kościółek, strojąc go we wzorzyste kwiaty swych szkarłatnych chustek. Z poza ścian kościoła przedostały się tony organów, poważnie jęczące. Uroczystość panowała przy cichym akompaniamencie szumu w górze lip.

— Przepadło — szepnęła Hanka — nie dostaniemy się do środka.

— Musimy! Ludzie nas puszczą gwoli feretronów.

Maryna, jako najstarsza, wysunęła się pierwsza, za nią szły drugie sznurkiem. Kobiety, zobaczywszy dziewczęta od feretronów, usuwały się im, robiąc drogę.

W kościele tłok był wielki, nabożeństwo wspaniałe, ludu moc. Dwóch księży przed wielkim ołtarzem w złocistych ornatach, jarzące świece, chłopcy w białych komżach, dym kadzideł, płynący w górę, a po obu stronach wielkiego ołtarza w ławkach, pomalowanych na czerwono, siedziało państwo. Hanka podniosła wzrok i zobaczyła promienie oczu panicza, lecące ku niej. Zadrżała z radości i strachu, uklękła, pochyliła głowę, aby się skryć wśród tłumów... Prostowała się powoli, rzucając wzrok na czerwoną ławkę. Panicz szeptał do panienki i oboje razem spojrzeli na nią. Ciepła krew z serca popłynęła jej do głowy i okrasiła twarz. Czuła rumieńce, wargi drżały utajoną prośbą, serce się rozpierało, rosło i biło gwałtownie.

Zadzwoniono na podniesienie; nowe kłęby kadzideł zasłoniły panicza; Hanka pochyliła się za drugimi — odetchnęła głęboko, zaczęła się modlić, sama nie wiedziała o co: o śmierć szczęśliwą, choć zdrowie z niej tryskało; o miłosierdzie, choć szczęście ją rozpierało. Nie wiedziała, o co, ale się modliła gorąco, i to jej robiło ulgę, rozrzewniało ją, przywracając spokój, porządkując myśli.

Dano znak do procesyi. Chorągwie stanęły na środku, dziewczęta skinęły na Hankę, ujęły drążki feretronu z Najświętszą Panienką i stanęły przed baldachimem... Dzwonki dały znak, ksiądz uniósł w górę Przenajświętszy Sakrament, ludzie padli na kolana, popłynęła pieśń;

Przed tak wielkim Sakramentem
Upadamy na twarze...

i z nią chorągwie, feretrony i lud wysypali się na cmentarz. Pod baldachimem, kapłanem otoczonym, szedł proboszcz z monstrancyą. Hanka z towarzyszkami, niosącemi Najświętszą Panienkę, tuż przed księdzem. Przy zakrystyi panicz zbliżył się do celebranta, podtrzymując mu rękę, niosącą monstrancyę; panie otoczyły baldachim. Pochód posuwał się wolno wśród salw moździerzy i bicia dzwonów. Śpiew ludu płynął w górę, łączył się z szumem lip w dziwną harmonię. Zdawało się, że ludzie i drzewa jednocześnie wznoszą hymn Panu. Na środku cmentarza feretrony i chorągwie zwróciły się ku baldachimowi, lud klęknął, ksiądz pobłogosławił na cztery strony świata.

Hance się zdawało, że klęczy przed paniczem, czuła wzrok jego na swej twarzy, zahypnotyzowana...

— Hanka! — szepnęły towarzyszki.

Powstała, i nie śmiejąc spojrzeć, poszła za drugiemi.

Słońce świeciło, bęben bił, dzwony kołysały powietrze, lipy w górze szumiały, lud śpiewał, fala jego z kaplącym od złota baldachimem wśrodku, płynęła, różnobarwne chorągwie powiewały cicho i majestatycznie...

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Nie mieliśmy jeszcze czasu roztańczyć się na dobre, a tu karnawał za kilka dni już się kończy ku wielkiemu zmartwieniu wszelakiego rodzaju paskarzy, robiących na nim dobre interesy i bawiących się doskonale. Sprawozdanie, jak już poprzednio zaznaczyliśmy, odkładamy na czas wielkopostny, choć właściwie niewiadomo, kiedy wielki post się zaczyna, z powodu bowiem braku węgli, a w ich następstwie popiołu, Popielec ma być w tym roku skasowany, „tańcujące Śledzie" zapowiedziane są zaś na cały luty.

Niniejszą kronikę postanowiliśmy sobie zacząć od przepowiedni metereologicznych, wszystko bowiem tak się składa, że, wbrew poprzednim prognozom, jakoby zima tegoroczna już się skończyła, należałoby się spodziewać już w miesiącu lutym silnych mrozów i śniegów, nie mówiąc już o tem, co marzec w dalszym ciągu przyniesie. Przed tygodniem wspomnieliśmy o wynurzeniach pewnego metereologa z Wieliczki, który zapowiedział siarczyste mrozy na luty, obecnie możemy do tego dodać, że potwierdza to także i przysłowiowy niedźwiedź! W dzień Matki Boskiej Gromnicznej zawalił mu wprawdzie wiatr budę, ale on ją natychmiast poprawił i ułożył się z powrotem do snu, przekonawszy się, iż na ulicach takie błoto, że bez kaloszów wyjść się nie opłaci, aby je zaś kupić, trzeba być miliarderem. Niedźwiedź w menażeryi pani Swobodowej obok Trzeciego Mostu wprawdzie nie śpi, ale jest w niehumorze, czego dał dowód, zdzierając skórę z ręki jakiemuś żołnierzowi, który chciał się z nim przywitać.

Przy tej okazyi warto wspomnieć, że menażerya ta jest bardzo obficie zaopatrzoną w najpiękniejsze okazy światowej fauny, a mieści się aż w dwu wozach i jednej klatce na ptaki. W jednym z wozów rezyduje niedźwiedź, któremu biedni Krakowianie zazdroszczą pięknego futra, w drugim lwica podnajmuje mieszkanie od lamy, cierpiącej na śpiączkę, gdyż przeważnie dla oczu widzów jest niedostrzegalna, muszą się oni zadowolnić jedynie zapewnieniem służby cyrkowo-menażeryjnej, że w owej kupie słomy, jaka jest w kącie, jest i lama, ale teraz właśnie śpi. W klatce na ptaki oglądać można jakiś okaz skrzydlatego rodu, mogący równie dobrze uchodzić za kapłona, jak również i za orła, którego rolę ma odgrywać. Nie brak natomiast osłów, gawronów i dudków, ściągających tutaj z miasta, aby złożyć po dwieście marek haraczu, nic za nie nie widzieć, ale dowiedzieć się, iż reszta menażeryi jeszcze nie zjechała. Czyli, innemi słowy nic to trudnego wziąć Krakowian na kawał.

Wracając do temperatury, przytoczyć musimy jeszcze jedną przepowiednię, wydrukowaną czarne na białem w naszych pismach codziennych, a zgadzającą się z tem, co powiedział metereolog z Wieliczki i zrobił niedźwiedź. Otóż, według słów tej informacyi, w lutym zaraz po pełni, przypadającej na dzień 4., tegoż miesiąca, rozpoczną się bardzo silne mrozy i potrwają aż do końca, poczem nastąpią gwałtowne opady śnieżne. Perspektywa dla nas niezbyt pomyślna, nic też dziwnego, że Związek Inteligencyi powziął podobno postanowienie, aby się postarać gdzie należy o odłożenie tego zarządzenia na rok następny, kiedy węgle potanieją, a także i magistrat obiecał dołożyć starań i poprzeć skutecznie wdrożone kroki, gdyż niema pieniędzy na wywożenie śniegu z miasta, co dzisiaj kosztuje prawdziwie bajońskie sumy.

Czytając te przepowiednie metereologiczne i słysząc je już teraz *anticipando* odczuwa się mróz, przechodzący po kościach i z żałosnem wspomnieniem dawnych lepszych czasów rzuca się okiem na piec, gromadzący dawniej kolo siebie całą rodzinę, dziś zaś skupiający na sobie tylko jej wzrok i stanowiący cel jej westchnień.

Nieco cieplej robi się natomiast, gdy się czyta nasze pisma codzienne, ale nie dlatego, że znowu podrożały, a poczciwy *Kuryerek* kosztuje już trzysta marek, lecz z powodu coraz niepewniejszych wiadomości politycznych, nadchodzących z różnych stron świata. Konferencya w Lozannie wprawdzie się już skończyła, dowiedzieliśmy się jednak tyle, że Turcy nie mają najmniejszej ochoty podpisać przygotowany przez koalicyę traktat pokojowy, chcą natomiast przedłożyć swój projekt, na który znowu Koalicya się nie zgodzi. Z tej strony możemy się spodziewać najwyżej dwu wojen, t. j. między Francyą i Grecyą, a następnie między Turcyą i Anglią, gdyż też ostatniej zachciało się gwałtem pól naftowych w Mossulu. Poza tem straszy świat ciągle widmo nowej fazy wojny francusko-niemieckiej, wobec której i my musielibyśmy być narażeni na poważne niebezpieczeństwo ze strony sowieckiej Rosyi, aliantki Niemiec. Lejba Trocki, pozbywszy się swej żony dotychczasowej, a zaślubiwszy inną, pragnie jej okazać swój rycerski animusz i groźnie potrząsa parasolem, zastępującym chwilowo miecz w jego dłoni. Na dobitek usadowił się nam na karku czyrak kłajpedzki, z przeciwnej strony nękają nas dolegliwości jaworzyńskie, ponieważ Czesi doszli do przekonania, że Jaworzyna to ziemia odwiecznie czeska, a na potwierdzenie swych do niej pretensyi podają, że w ostatnich stu latach było tam pięciu nadleśniczych, kilkunastu leśniczych, nie mówiąc już o tem, iż ludność tamtejsza lubi bardzo kwargle, co najwymowniej stwierdza jej rdzennie czeskie pochodzenie.

Karnawał kalendarzowy kończy się zatem, a bardzo łatwo rozpocząć się może polityczny, nic też dziwnego, że interesowane państwa i narody przygotowują się powoli do nowego kadryla. Paskarzom w to graj. Jedni z nich zarabiają na drożejących z każdym dniem towarach, inni spekulują na walucie, tylko nieszczęsny burżuj, należący do tak zwanej inteligencyi, umysłowo pracującej, chucha i dmucha, liże łapę i pyta się sam w duchu: *„A kto to bude platt?..."* A coś tam we wnętrzu odpowiada mu: „Oczywiście nikt inny, tylko ty braciszku!... Panowie się bawią, a hołota niech za to płaci!..." I mimowoli czuje jakieś swędzenie w okolicy kieszeni, bierze ołówek do ręki, zlicza swe miesięczne dochody i wydatki spodziewane i dochodzi do przekonania, że mogłaby go od katastrofy uratować jedynie chyba emisya nowych banknotów, ale, niestety wypuszczać ich w obieg nie może, zmuszony ograniczyć się do tych, jakie legalną drogą wpłyną do jego kasy. Dochodzi zatem do rezultatu, że, gdy dziś cierpi skrajną nędzę, w najbliższej przyszłości czeka go jeszcze większa.

Niechaj jednak nikt nie myśli, że nędza jest zawsze jednaka. Są rozmaite jej rodzaje, jak się o tem mieliśmy sposobność przekonać z wywodów poczciwego pana Reicha, który wiózł ze sobą do Katowic dziesięć milionów marek z polecenia swego pryncypała. Coś go jednak skusiło, pieniądze ukrył u swych krewnych, a sfingowawszy napad bandycki na swą osobę, o co dziś tak łatwo, z gwałtem i krzykiem wpadł do urzędu policyjnego, przedstawiając się jako ofiara nieznanych rozbójników. Opowiadał tak pięknie i tak wzruszająco, wykazał nadto ślady napadu na swej osobie pod postacią sińca na głowie i błota na paltocie, gdyż szelmy bandyci chcieli go niezawodnie udusić, że mu początkowo uwierzono. Wraz z ofiarą udała się policya na miejsce wypadku i tu znaleziono dalsze ślady, jeszcze silniej potwierdzające jego oskarżenie. Natrafiono tam zatem na flaszkę mleka, pieczoną kurę i konfitury, mające chronić pana Reicha w drodze od głodowej śmierci, obok znaleziono jego laskę i wypróżnioną teczkę, którą porzucili bandyci, unosząc jedynie jej zawartość.

O ile jednak pan Reich jest widocznie bardzo pomysłowy, o tyle okazał wielki brak pamięci i podczas składania dalszych zeznań policyi sam się do tego stopnia „zasypał", że przyparty do muru i wzięty w ogień krzyżowych pytań przyznał wreszcie ze skruchą, iż cały ten rzekomy napad był przez niego sfingowany i w pierwszym i drugim akcie odegrany po mistrzowsku, trzeci się jedynie nie udał. Wskazał u kogo pieniądze ukrył, jak się sam dobrowolnie laską pobił i obłocił, jak z krzykiem potem pędził w stronę urzędu policyjnego, a na zapytanie, co go do tego skłoniło, odpowiedział, przybierając hamletowski wyraz twarzy: „skrajna nędza!..."

Gdy kronikarz przeczytał w jednym z pism codziennych sprawozdanie z przesłuchania ofiary bandyckiego napadu, stracił kompletnie zaufanie do naszej nędzy, zwłaszcza panującej w południowych dzielnicach Krakowa. W jakimże bowiem stosunku stoi owa pieczona kura i konfitury, mające stanowić prowianty na drogę. do owej „skrajnej nędzy" pana Reicha?... Kronikarz wybierając się w podróż, byłby nad wyraz zadowolony, gdyby mógł wziąć ze sobą flaszkę mleka, a do niego ze dwie bułki lub kawałek chleba, chyba w śnie mógłby zaś marzyć o wzięciu ze sobą w podróż pieczonej kurki i konfitur... Nędza zatem nędzy nie równa, na taką, jaką cierpiał pan Reich, pisałby się z przyjemnością niejeden z nas.

Ciekawe także pytanie, jak wesołe życie byłby ów dowcipny jegomość prowadził, gdyby w samej rzeczy udało mu się wywieść w pole władze bezpieczeństwa i gdyby owe dziesięć milionów stały się jego własnością, kładąc kres dotychczasowej nędzy.

Nie udało się biedakowi, odpokutuje teraz za to i prawdopodobnie nie będzie mógł odżywiać wątłego ciała drobiem i konfiturami. Serdecznie nam go żal i, gdyby był zgłosił się do nas, bylibyśmy mu podali inny daleko pewniejszy środek dojścia do majątku, o wiele też bezpieczniejszy. Oczywiście nie byłby usłyszał od nas rady, aby wstąpił w ślady jednego z współczesnych miliarderów amerykańskich, zawdzięczającego swą kolosalną fortunę bardzo małemu i skromnemu początkowi, t. j. zbieraniu skórek pomarańczowych na ulicach miasta, suszeniu ich i sprzedawaniu. Tak przynajmniej opowiada prof. Górka w swym podręczniku, w jaki sposób najłatwiej zostać milionerem, ale to dobre może było przed wojną, lecz nie teraz, gdy pomarańcze należą wogóle do rzadkości, a kto sobie na taki zbytek pozwoli, płaci za owoc południowy taką kwotę, że pomarańczę zjada potem wraz ze skórką, aby się przypadkiem nie zmarnowała.

Bylibyśmy poddali panu Reichowi projekt zupełnie inny, dający gwarancyę, że w dzisiejszych zwłaszcza stosunkach i przy niewielkim nakładzie pracy i kapitału, może zostać nietylko milionerem ale i dobrodziejem ludzkości, nie wchodząc przytem w konflikt z kodeksem karnym.

Oto w ubiegłym miesiącu sprzedawano w Paryżu pozostałości po słynnym Landru, który wprawdzie nie cukiernik z zawodu, był wynalazcą znakomitego przepisu na pieczenie bab, dzięki temu wynalazkowi pozbył się prawie tuzina żon, a pomocnym do tego był mu niewinny piecyk, w którym smażył naiwne istoty, decydujące oddać mu serce i majątek. Ten piecyk był właśnie do sprzedania i można go było kupić za kilkanaście franków, zarabiać zaś na nim i to w sposób zupełnie legalny grube miliony.

Należało go tylko przywieźć do Krakowa i ogłosić szeroko, że za złożeniem odpowiedniej opłaty wypożyczyć można piecyk, „w którym Landru smażył swoje żony". Jesteśmy pewni, że u właściciela piecyka nie zamykałyby się drzwi, nie markami, lecz w funtach szterlingach lub dolarach płaconoby na jego wypożyczenie. Małżonek, mający swarliwą połowicę, zatruwającą mu i tak już gorzkie chwile życia, sprowadziwszy na kilka dni ów piecyk do domu, musiałby na wstępie pouczyć swą lepszą połowę, co to za sprzęt, potem kazać go ustawić i połączyć go z kominem, a wreszcie, gdy przyjemności domowych ma już za dużo, zawołać tylko na służącą:

-- Kasiu! rozpal ogień w tym żelaznym piecyku, ale porządnie!...

Rezultat z tego podwójny: pani domu staje się natychmiast słodką i w pokoju jest cieplej, niż zwykle. Na drugi dzień prośba do męża, aby się pozbył tego pieca i solenna obietnica poprawy. Oczywiście dzieje się tak, jak sobie pani życzyła, gdyż piecyk wypożyczony był tylko na trzy dni, poczem miał ograć i pogodzić inne stadło małżeńskie.

Z czasem spopularyzowałby się może, ale nigdy nie straciłby swego uroku i mógłby bardzo dobrze odgrywać rolę konduktora podczas burz małżeńskich.

Pan Reich nie spytał nas o radę, pokpił też sprawę, gdyby zaś był się dzięki nam stał właścicielem owego piecyka, nie byłby wchodził w konflikt z prokuratorem, miałby czyste sumienie a zatem i spokojny sen (o ile w łóżku niema pluskiew...), do udziału w dochodach z przedsiębiorstwa dopuściłby może i kronikarza, jako projektodawcę, a ten wówczas, rezygnując z konfitur, gdyż słodycze chowa sobie na życie przyszłe, zdobyłby się może bodajby raz w tygodniu na taki specyał „krakowskich nędzarzy", jakim jest pieczona kura.

Echa strajku drukarskiego w Krakowie.

Trwający przeszło trzy miesiące strajk drukarski w Krakowie miał tą dobą stronę, iż pokazał, że przy dobrej woli mogą zmilknąć różnice partyjne i możliwa jest wspólna zgodna praca zwalczających się do niedawna przeciwników politycznych. Wydawane podczas strajku „Wiadomości Krakowskie“ (wspólny dziennik sześciu pism krakowskich, „Czasu“. „Głosu Narodu“, „Nowej Reformy“, „Illustrowanego Kuryera Codziennego“ „Gońca“ i „Nowego Dziennika“) były tego doskonałym przykładem. Naturalnie pod spokojną, łagodną maską „Wiadomości Krakowskich“ wrzały niekiedy burze, artykuły, przechodzące przez filtr sześciu pism, nieraz ulegały mniej lub bardziej ciężkim operacyom, ale dziennikarze zgrupowani przy wspólnym warsztacie redakcyjnym, przetrwali zwycięsko wszystkie te próby. Gdy podczas wyborów szalały walki partyjne — „Wiadomości Krakowskie“ były wyrazem prawdziwej idylli politycznej. Jest to niewątpliwie zasługą delegatów poszczególnych redakcyi, a zwłaszcza naczelnego redaktora „Wiadomości Krakowskich“ p. M. Konopińskiego, który z wielkim taktem potrafił łagodzić przeciwieństwa i prowadzić pismo wśród ogólnej harmonii.

Gdy nasze życie polityczne zatruwają wciąż walki partyjne, trzymiesięczny żywot „Wiadomości Krakowskich“ powinien stać się przykładem zgodnej pracy dla wspólnego dobra.



Wystawa zbiorowa Franciszka Turka: „Łąka w Kwilczu“ (Ze zbiorów hr. Tyszkiewiczowej).



Wystawa zbiorowa Franciszka Turka: „Wierzba“ (Z galeryi Dobiesława hr. Kwileckiego).



„Szopka“ w domu artystów: Art. rzeźbiarz Stan. Popławski, wykonawca lalek.

„Szopka“ w Domu artystów.

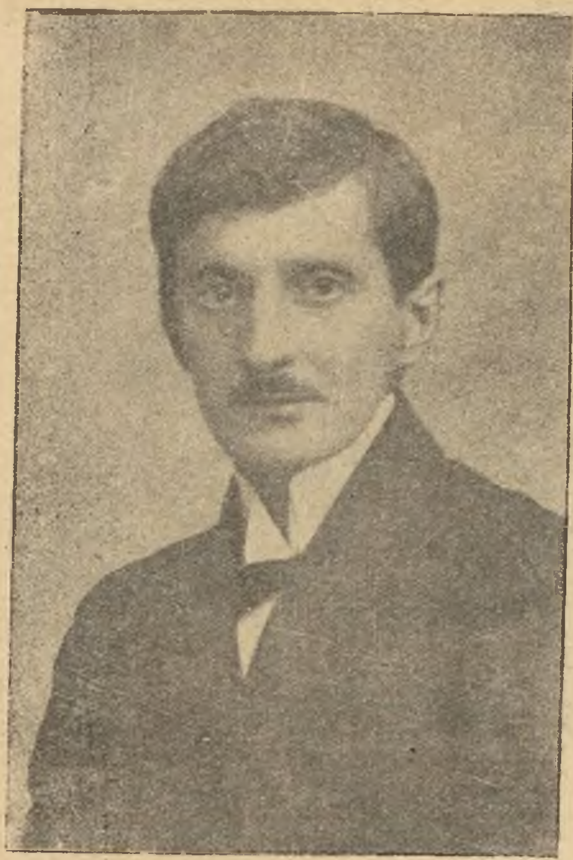
Zanim w jednym z najbliższych numerów zapoznamy Czytelników z ruchliwą działalnością Związku polskich artystów plastyków w Krakowie, w dzisiejszym numerze zamieszczamy fotografię z „Szopki“, która ma zapoczątkować szereg imprez artystycznych Związku i ściągała do Domu artystów przy ul. Szpitalnej, tłumy widzów, pragnących w tych ciężkich czasach odetchnąć w lekkiej atmosferze tradycyi „zielonego balonika“. Satyryczną treść do „Szopki“, wprowadzającej na scenę zarówno figury polityczne, jak i artystyczne, napisali z humorem dwaj artyści malarze pp. Geppert i Jabłoński. Bardzo udatne lalki wykonali pp. Popławski, Hryńkowski i Malicki.



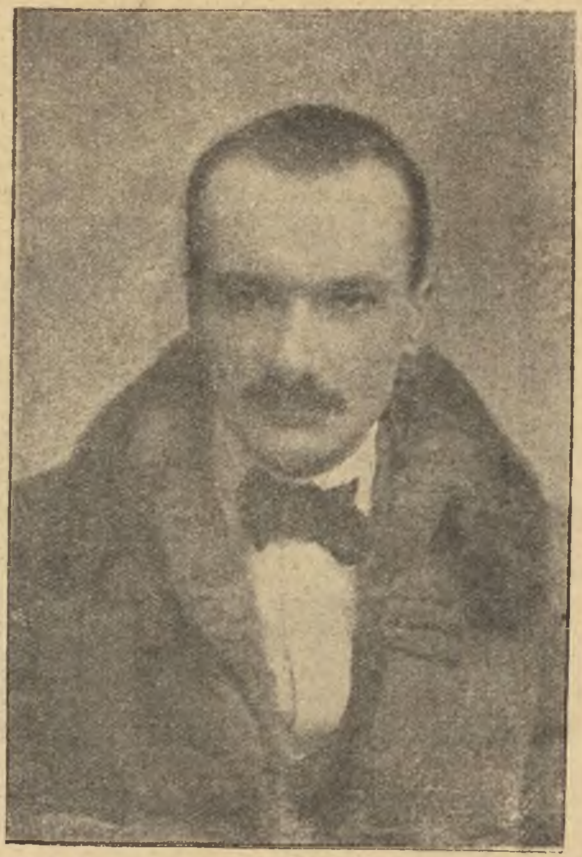
Wystawa zbiorowa Franciszka Turka: „Chmury nad jeziorem“.



„Jezioro Kwileckie“ (Z galeryi Jerzowej hr. Tyszkiewiczowej).



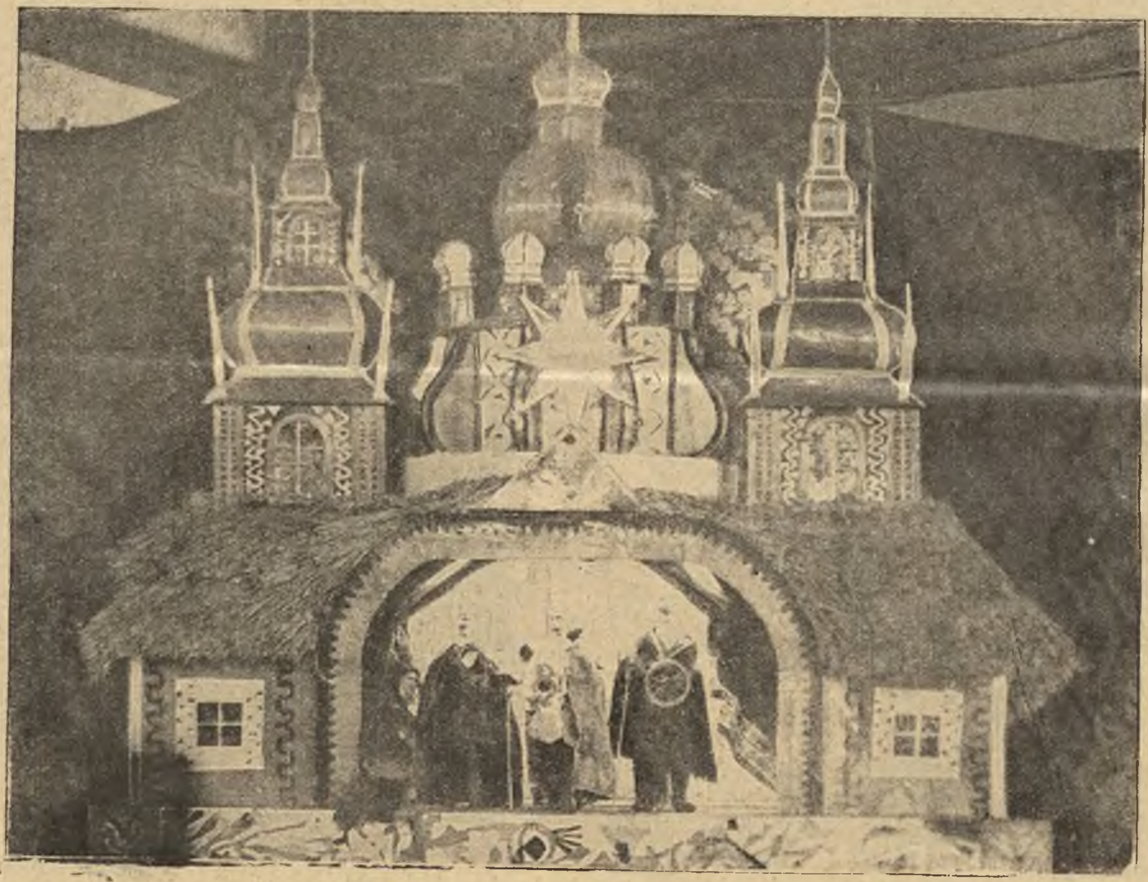
„Szopka" w Domu artystów: Art. malarz Jan Hrynkowski, wykonawca lalek.



„Szopka" w Domu artystów: Art. malarz Eug. Gepert, autor „Szopki".



„Szopka" w Domu artystów: Art. mal. Miecz. Jabłoński, autor „Szopki".



„Szopka" w Domu artystow: Na scenie „trzej królowie": Daszyński, Zamoyski, Witos.



„Szopka" w Domu artystów: Figurki z krakowskiego świata artystycznego, (od lewej ku prawej) prezes Tow. Przyj. Sztuk Pięknych hr. Raczyński, prof Wł. Weiss, red. Prokesch, prezes Związku artystów Wodzinowski, rektor Szyszko-Bohusz, Jacek Malczewski, „mecenas od sztuki".

Z wygnania Habsburgów.

Szeroko rozpowszechnianą jest przez legitymistów węgierskich po całym kraju zamieszczona przez nas w niniejszym numerze podobizna Ottona Habsburga, najstarszego syna Karola i Zyty, według nich jedynie uprawnionego dziedzica tronu węgierskiego. Sporządzono ją w ostatnich czasach w Hiszpanii, gdzie ex-królowa Zyta przebywa na łasce swej rodziny, oddana wychowaniu dzieci, nie tracąca jednak nigdy nadziei, że, jeśli już nie siebie samą, to bodaj swe potomstwo ujrzy na tronach, z których jego ojca strąciła wojenna zawierucha. W tym duchu wychowuje się też młodego Ottona, licząc wiele na poparcie dość silnej



Z wygnania Habsburgów: Najnowsza fotografia Ottona, najstarszego syna Karola i Zyty, kandydata do tronu węgierskiego.

na Węgrzech partyi legitymistycznej, a rezygnując na razie z tronu austryackiego, jako mniej pewnego. Przyznać trzeba, że na Węgrzech, zwłaszcza wśród sfer niższych, przywiązanie do dawnej dynastyi królewskiej jest mocno zakorzenione, a wierni Habsburgom politycy starają się je wyzyskać na rzecz Ottona.

Życie koronowanych wygnańców w Hiszpanii, nie jest bynajmniej do pozazdroszczenia, stosunki ich majątkowe są bowiem stale nie uregulowane, a pozostawanie na łasce krewniaków nie należy chyba do przyjemności.

SZARADA NOWOROCZNA LWOWSKIEJ „GAZETY PORANNEJ".

Ubiegłej niedzieli wielkie zainteresowanie we Lwowie wywołało losowanie nagród za rozwiązanie Szarady Noworocznej „Gazety Porannej", które odbyło się przy współudziale około 1500 osób. Wydawnictwo „Gazety Porannej" chcąc swoim czytelnikom rozdać upominki, ogłosiło szaradę, przeznaczając za jej rozwiązanie 100 cennych i różnego rodzaju przedmiotów, jak n.p. książki, garnitury do kompotów, chusteczki, krawatki, materję na bluzkę, wódki, likiery, torty, lampę elektryczną, koronkową kombinacyę damską, w gotówce 100.000 Mp. i t. d.

Za trafne rozwiązanie ogłoszonej szarady dopuszczono do losowania 4.400 czytelników ze Lwowa łącznie z prowincyą. Samo losowanie odbyło się w nader uroczysty sposób, w czasie której to niezwykłej uroczystości przygrywała orkiestra kolejowa pod batutą kapelmistrza p. Jana Kohouta. Losowaniem tem zainteresowanie w mieście było tak wielkie, że porządek musiała utrzymywać policya. Dodać należy, że główna wygrana 100.000 marek przypadła w udziale jednemu z biednych robotników w Borysławiu.



Szarada Noworoczna „Gazety Porannej" we Lwowie: Orkiestra kolejowa przygrywająca pod batutą kapelmistrza p. Kohouta. (Zdjęcie fotograficzne M. Münza).



Szarada Noworoczna „Gazety Porannej" we Lwowie: Tłum czytelników, wyczekujący przed lokalem redakcyi „Gazety Porannej" na wynik głosowania.



Szarada Noworoczna „Gazety Porannej' we Lwowie: Przedmioty przeznaczone do losowania. (Zdjęcie fotograficzne M. Münza).



Nasi specjaliści „kasiarze" przy robocie: Aleksander Szynalik (dwa zdjęcia) i Józef Kudłek, sprawcy senzacyjnego włamania w Rynku Głównym w Krakowie.

Nasza nowa powieść.

Rozpoczynając w poprzednim numerze druk znakomitej powieści *Ernesta Feydeau* p. t.

„MOJA SPOWIEDŹ"

nie mamy bynajmniej zamiaru podnoszenia jej zalet, nazwisko bowiem Autora, jednego z najgenialniejszych romanso-pisarzy francuskich, mówi samo za siebie. Z pod takiego pióra nie mogło wyjść nic, co nie odpowiadałoby najdalej posuniętym wymaganiom nowoczesnej beletrystyki. Krytyka francuska tę właśnie powieść uznaje za jedno z najlepszych dzieł Ernesta Feydeau, nic też dziwnego, że przetłómaczono ją na wszystkie prawie cywilizowane języki, a we francuskim doczekała się kilkunastu wydań.

Tematem jej jest okres życia młodego człowieka, pożeranego miłością ku kobiecie, w której ręku był tylko igraszką. Wrażenia swe spisuje on w formie spowiedzi, wykonując w ten sposób zlecenie ostatniej woli jej małżonka, który wiedząc o wszystkiem, włożył nań ten obowiązek, jako pokutę dla lekkomyślnego młodzieńca mającą być zarazem nauką i ostrzeżeniem dla tylu jemu podobnych.

Nasi specyaliści „kasiarze"
przy robocie

W nocy z dnia 25. na 26. stycznia b. r. dokonano w Krakowie nadzwyczaj śmiałego włamania w dwu lokalach handlowych, zajmujących parter i pierwsze piętro jednej z kamienic w Rynku Głównym u wylotu ul. Grodzkiej, to jest w składzie obuwia Fränkla i konfekcyi damskiej Banneta. Tu i tam rozbito ogniotrwałe kasy, z których zabrano kilka milionów marek. Precyzya, z jaką dokonano włamania i sztuczki, któremi posługiwali się złoczyńcy, nasunęły w pierwszej chwili podejrzenie, że się ma do czynienia ze specyalistami obcymi, przybyłymi do Krakowa na gościnne występy. Energiczne śledztwo wdrożone natychmiast przez tutejszą ekspozyturę śledczą pod kierunkiem jej naczelnika p. Ryczkowskiego, wykazało jednak, jak niesłusznie skrzywdzono tutejszych „specyalistów". Okazało się mianowicie, że włamaniami obu kierował dobrze znany krakowskiej policyi włamywacz tutejszy, Aleksander Szynalik, a pomagało mu dwu spólników, z których jednym był Józef Kudłek, syn stróżki tego domu, obeznany zatem dokładnie z terenem pracy. Dzięki sprawności naszych władz śledczych już nazajutrz po włamaniu dwaj sprawcy znaleźli się pod kluczem, a wraz z nimi część skradzionego łupu.

Włamanie w Rynku Głównym było senzacyą dnia w Krakowie, stanowiąc temat różnych fantastycznych opowiadań o pomysłowości naszych domorosłych rzezimieszków.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.